



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



WIOSNA 2024 (39)
KRAKÓW

*Adam Benedykt
Bisping*

Czar białoruskiej kniei



Tym razem celem naszej myśliwskiej wyprawy jest Gorodok - Białoruś wschodnia, czyli tereny, które przed II Wojną Światową należały już do Związku Radzieckiego.

Jedziemy tam na podchód głuszców, tokowisko cietrzewi oraz ciągi słonek. Nasza, już sprawdzona grupa, to Witek, Łukasz, Izio, Piotr i ja oraz nasz przewodnik i wypróbowany organizator Andrzej.

Przed wyjazdem nasze komórki i komputery grzeją się do czerwoności, gdyż ustaleń jest dość sporo. Szczegóły, zawsze takie same, czy masz paszport (ważny co najmniej przez następne 6 miesięcy), ważną europejską kartę broni, odpowiednią ilość amunicji, zgodę na wywóz broni i amunicji z Unii Europejskiej itp.

Później spotkanie w Warszawie, gdzie czeka na nas samolot białoruskich linii lotniczych Belavia. Na lotnisku, jak zwykle, kontrola dokumentów wywozowych broni i amunicji oraz szczegółowa inspekcja broni obejmująca sprawdzenie czy ich numery są tożsame z tymi zawartymi w stosownych zgodach, a później skrupulatne liczenie amunicji – co nie często się zdarza na granicy polskiej, ale tym razem nas nie ominęło. Już bez broni i bagaży, po przejściu umownej granicy powoli, bez pośpiechu „spokojna” kawa przed odlotem w lotniskowej kawiarni. Niektórzy zaglądają do sklepów bezcłowych, abymieć coś na „dezynfekcję” po przylocie.

Odprawa na lotnisku w Mińsku zawsze taka sama. Po przejściu kontroli paszportowej czeka na nas organizator białoruski Sasza. Wypełnia wszystkie papiery, jeszcze raz liczy amunicję, później kontrola szczegółowa broni i powtórne wczytywanie się w jej numery – czy na pewno są takie same? W mojej dubeltówce na szczęście na każdej jej części numery się powtarzają. Izio ma problem, bo numer jego broni zaczyna się na kolbie, dalsza jego część jest na czółenku, a końcówka na lufach. W związku z tym każda część broni nosi inny numer. Już po wszystkich wyjaśnieniach wsiadamy na lotnisku do busa i jedziemy kilka dobrych godzin do bazy do Gorodoku. W busie panuje miła atmosfera, kosztujemy wyśmienitych białoruskich wędlin, popijamy białoruską wodę brzozową, która okazuje się być wyśmienita na zmęczenie, do tego jeszcze sało i podróż szybko mija.

Baza w Gorodoku nie najgorsza, gospodarz miły oraz

całkiem niezłe jedzenie. Jednak to nie jest istotne; jutro o 4 rano wyruszamy na łów.

Moja poranna podróż uazem z miłym podprowadzającym, będącym prawie w moim wieku, trwa około jednej godziny. Na miejsce przybywamy, gdy jest jeszcze zupełnie ciemno i zaczynamy swoją wędrówkę przy kiejskiej lampce mojego przewodnika. Jestem zły, że nie wziąłem swojej, ale po jakimś czasie jestem z tego zadowolony. Mam przecież ze sobą aparat fotograficzny, telefon, amunicję i jestem dość ciepło ubrany. Po przejściu około 3-4 kilometrów dochodzimy do rozlewiska, o którym mój przewodnik mówi, że to rzeczka, przez którą musimy się przeprawić, a naszą prowizoryczną drożyną ma być pień złamanego drzewa. Aby ułatwić mi przeprawę podprowadzający odbiera mi broń oraz torbę, wręcza kijki o długości dwóch i pół metra i informuje, abym podążał za nim krok w krok. Tak rozpoczynamy 4 lub 5 kilometr podróży od zaparkowanego samochodu.





Po przejściu 50 metrów, jestem całkowicie mokry od potu i pełen obaw, by nie wpaść do wody i sobie czegoś nie zrobić.

Dalej nasza droga jest już mniej wymagająca, wiedzie przez las iglasto-liściasty. W trakcie „spaceru” mój przewodnik cały czas nasłuchuje i pokazuje mi jeden kierunek. Po dwóch godzinach marszu jesteśmy na miejscu, lecz głuszców już nie ma. Widzimy tylko miejsca ich piaskowych kąpielii – paprzyska. Po tak wyczerpującym marszu pomyślałem sobie, że ja odpocznę i poczekam na mego przewodnika, a on pójdzie po samochód i spokojnie wrócimy do bazy. Niestety spotyka mnie przykra niespodzianka, bo dowiaduję się, że nie ma innej drogi niż ta, którą przyszliśmy. Powrót był dla mnie bardzo ciężki. Już myślałem, że tam zostanę i nie wrócę. Po powrocie do samochodu sprawdziłem, że przeszliśmy 12 kilometrów. Tymczasem mój przewodnik zapowiedział, że jutro będzie tak samo z tą różnicą, że musimy wyjechać o dwie godziny wcześniej. Mnie się wydawało, że już chyba

wolę zostać w bazie i nic więcej nie widzieć. Wracamy, a tu się okazuje, że Piotr i Łukasz już strzelili po głuszcach. Piotr, mający słuch absolutny, odtwarza całą pieśń głuszcza ze wszystkimi jego zwrotkami. Adrenalina uderza już mocniej i serce wali coraz bardziej. Idę więc bardzo szybko spać i rano jestem gotowy. Okazuje się, że mój przewodnik ma już upatrzone inne głuszce i wie, że w nocy zapadły w drugim jego rewirze. Po przyjeździe na miejsce zaczynamy podchód. Po dwóch godzinach mój przewodnik już słyszy pieśń głuszcza, a ja niestety jeszcze nie. Bierze mnie za rękę i co jakiś czas podskakujemy do przodu. Gdy on staje, to ja też. W pewnym momencie słyszę coś pięknego i łapię jego rytm biegu i stoję po kolejnych zwrotkach.

Już jesteśmy pod drzewem, na którym on tokuje. Widzę jego sylwetkę i czekamy na szlifowanie, aby oddać strzał. Gdy tylko się rozpoczyna, mój przewodnik mówi „teraz”. Huk przerywa coś najpiękniejszego, co widziałem i na szczęście słyszałem. Olbrzymi





ptak spada pomiędzy gałęziami, a ja jestem oszołomiony. Myślę o swoim ojcu, o stryjasku, oni też tak podskakiwali głuszce i wiele później o tym opowiadali.

Wracając do bazy widzieliśmy tokujące cietrzewie. Niestety ich podejście było niemożliwe, a czekanie na nie w bardzo niskich budkach, na leżąco, dla mnie nie stanowiło żadnej atrakcji.

Po nieudanych oczekiwaniach na cietrzewie pojechaliśmy na ciągi słonek. Co za raj, ile ich słyszałem! Wracając wspomnienia, kiedy to mój ojciec chrzestny w kwietniu organizował dla mnie w Bieszczadach polowania na nie.

Nagle słyszę chrapanie słonki ciągnącej nad moją głową. Szybki ruch lufą i ten, bardzo dla mnie królewski ptak, spada nieopodal.

Opowieści z wyprawy było mnóstwo i wiem jedno - bardzo chciałbym jeszcze raz tam pojechać, choćby po to, by jeszcze raz zobaczyć tę knieję i te tokujące ptaki.



Adam Benedykt Bisping

inż. zootechnik Członek PZŁ od 1979 roku od samego początku związany z Kł Darz Bór w Krakowie. Łowczy w Kł Darz Bór, członek Kół: Sosnówka w Kalinie Wielkiej i Czajka w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd Okręgowy, Członek Komisji Oceny Prawdopodobieństwa Odrzutu



Spis treści:

Dwadzieścia „zielonych” srebrników Marek Wajdzik	3
Wiślańskie głuszcze Zenon Rzonca	4
Dwa łabędzie, a właściwie trzy Ryszard Adamus	12
Nie dla psa kielbasa Tadeusz Sadowski	18
Jakie zwierzęta pobierają szczepionki przeciwko wściekliznie? Karolina Sondej, Marek Wajdzik	22
Intelektualia Myśliwskie Kraków 2024 Hubert Zwinczak	26
Klasyka „małego pola” – z wyzłem na przepiórki Zbigniew Ciemniowski	32
Wiosna Ryszard Adamus	40
Dawno temu, w dolinie Biebrzy Hubert Zwinczak	44
Czar białoruskiej kniei Adam Benedykt Bisping	54
Targi Expo Hunt Kraków Ewa Dobrzyńska-Lankosz	60
Dżentelmen z Szarpańców Waldemar Smolski	62

Zdjęcia na okładce:
Włodzimerz Puchalski str. 1
Hubert Zwinczak str. 2
arch. Zenona Rzońcy str. 4



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Roman Barbasz
Adam Benedykt Bisping
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Andrzej Patoła
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stałe współpracują:
Ryszard Adamus
Rafał Łapiński
Patryk Sikora

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Standruk

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.